

KUGLARZ.

W Kapurthala, rezydencji radcy z Kapurthali, małej prowincji nieskończenie wielkiego Pendżabu siedziałem z wysoko postawionym krewnym i innymi przyjaciółmi na tarasie gmachu rządowego. Przed bramą stało w śmiesznych strojach ze trzydziestu żołnierzy, odzianych w mnóstwo ozdób, a jednak półnagich, podczas gdy ich oficerom wolno było z nami czas zabijać.

Była to część, nie wynosząca 1200 ludzi nawet „armii“ sułtana, a jako dowód jej, obawę budzącej gotowości bojowej, jedną z dwunastu armat państwowych osadzono tuż przed gmachem.

Mijali ją Hindusi, lektykarze, nadzy „kuli“, półnagie kobiety, bogacze kraju tego w jedwabnych szatach, szlachetne damy w ciężkimi firankami zawieszonych klatkach, ale wszyscy, wszyscy spoglądali nienawistnie, acz ze czcią należną ku tarasowi, gdzie siedział indyjski oficer obok białego i gdzie nikt się nie troszczył o motłoch, pstrym korowodem wzdłuż gmachu sunący.

Niektórzy, skrzyżowawszy ręce na pierśsiach, mruzcili jakieś obelżywe słowo, które z oddali niby błogosławieństwo brzmiało, wznosząc przytem ręce do góry, aby z głośnym okrzykiem radości schwytać monetę niklową.

Obowiązek rzucania monet pełnił murzyn, stojący za moim krewnym, generalnym rezydentem Kapurthali. Podejrzewalem go zawsze, że większość filantropijnych monet wędrowała do jego własnej kieszeni, gdyż przyjaciel mój był hojnym człowiekiem, a nikt jednakże zbyt rzadko po nad tłum wlatywały. Ali musiał wszakże ponadto muchy od głów naszych odpędzać, co też bardzo skrupulatnie czynił za pomocą długiej oganki ze wspaniałych piór strusich, które pan jego kiedyś w Sudanie nabył.

Rozmowa nie bardzo się kleiła. Było strasznie gorąco. Oczekiwano księcia.

W restauracji zabrakło lodu, którego wyglądaliśmy ze stokroć większym utęsknieniem, aniżeli jego brązową wysokość. Dostawiono lód wreszcie i orzeźwiliśmy się wszyscy.

Nadbiegł niebawem posłaniec z wiadomością, że radża (chwała Bogu!) raczy w domu pozostać i rezydentowi „rozkazuje“ stawić się doń jutro.

Nadmienić należy, że „rozказы“ takie, to mała komedia, którą jego wysokość odgrywa, Anglicy zaś, pozwalający mu trzymać wojsko złożone z 1200 żołnierzy i 12 armat, przez palce na nią patrzy.

Istotnym władcą kraju jest rezydent, który „słucha“ wprawdzie maharadżę, czyni jednakże to, co uważa za właściwe lub co mu rząd w Bombaju każe.

Jeszcześmy nie zdążyli ochłoniąć z radości na myśl, że się nam niskie ukłony, będące tu bardziej, niż gdzie indziej w zwyczajach, upiekły, gdy stary, nawpół nagi ku-

glarz stanął przed tarasem. W rękę trzymał pręt z pięcioma palcami na końcu, ostrą czapkę miał na głowie, duże okrągłe pierścienie w uszach, w oczach zaś — płomienie nieokiełznanych namiętności!

Towarzysz jego, młody i gibki, jak trzcina na dżunglach, nie miał nic, prócz skórzanego fartucha na sobie i podartej, starej torby w rękę.

— Co robisz tutaj! — krzyknął doń oficer.

— Sahib — odparł stary pokornie, krzyżując ramiona nad rzadką i długą brodą — jestem kuglarzem i wędruję po kraju świętym. Nogi mię do Kapurthali przyniosły, siedziby najpotężniejszego radcy; proszę o łaskę: pozwólcie mi tutaj sztuki me pokazać!

— Zgoda — odparł mój gospodarz — damy ci miejsce, gdzie będziesz nam mógł djabelskie twe wyczyny przedstawić. Ale biada ci, jeżeli się przed nami zbłaźnisz!

— Czcigodny panie, będziesz zadawolony. Znam cię. Jesteś wysłańcem władców tego kraju i wielkim, potężnym mistrzem.

Mówiąc to, wstąpił ze swoim uczniem na schody i okadził mego krewnego wonnościami swemi.

Służba zrobiła miejsce na tarasie, na którym stary rozciągnął matę. Wówczas on i jego famulus zdjęli z siebie szmaty, rzucili je, wprost na ulicę i usiedli ze skrzyżowanymi nogami na macie.

Młody chłopiec, otworzywszy torbę, wyjął z niej piszczałkę oraz dwa drewniane pręciki i położył je przed mistrzem. — Stary postawił obok nich swoją śpiczastą czapkę i milcząc siedział sztywny, jak gdyby wyczerpany z promiennymi oczami. Zdawało się, że modlitwę w duszy szepcze i siły zbiera dla nadzwyczajnych sztuk, których oczekiwaliśmy od niego.

Jak żyd wieczny tułacz wędrują starcy ci wzdłuż i wszerz po kraju, odwieczni niemal, z garbowaną skórą i chytrym płomieniem w oczach. Żyją wśród najniższych sier, otrzymując od nich wszystko, czego im do życia potrzeba.

Ten zdawał się być w zachwycie i siedział nieruchomo. Wtem młody począł grać na swej piszczałce jednotonową melodję i niebawem dwa okularniki o szerokich czaszkach wysunęły z tajemniczej torby swe szkaradne cielska. Cicho podpełzły do starego i podniosły w górę głowy. Ten ocknął się wówczas i z głośnym okrzykiem chwyciwszy jadowite gady, rozciągnął je równo na ziemi; leżały jak palki. Wziął je za ogony i sztywne, nieruchome podniósł do góry; puścił — upadły twardo jak drewniane kije na ziemię. Uniósł wtedy swą czapkę i oba węże, których sztywność zniknęła nagle, żywe i straszne, zwinęły się pod nią w kłębki. Postawił znowu czapkę. Gady, jak patyki obok niej leżały. Włożył potem czapkę na głowę i węże-patyki zniknęły nam z przed oczu.

Podniósł wówczas obie sztaby, które uczeń był przedtem położył, wyrzekł słów

parę i oto sztaby przeistoczyły się w węże, owinęły się wkoło zeschniętych ramion kuglarza, otoczyły jego szyję, wystawiając daleko paszcze. Z czapki zaś wyskoczyły dwie myszki na ziemię i drżące ciałem ciałem, cicho leżały. Węże podpełzły do nich i połknęły je.

W dalszym ciągu kuglarz wyczarowywał ze sztabek swoich i czapki istne cuda: kotkę, kocięta swoje karmiącą, pięknego brązowego królika, małego aligatora, który leniwie, z wpółotwartą paszczą na światło patrzył.

Wszystkie te zwierzęta ruszały się i odychały, powstawszy z niczego, powołane do życia przez dwóch nagich mężczyzn, z których jeden grał na piszczałce, drugi zaś ciche słowa niewyraźnie szeptał.

Na ulicy stał tłum krajowców, patrzących na starca i widowisko, jak w tęczę. Żołnierze z trudem trzymali ich zdale.

Wtem tajemniczy starzec zwrócił się do mnie:

„Masz sześć złotych monet w kieszeni; daj mi je jako srebro.

Wyciągnąwszy me ciężko zapracowane złote sztuki, zobaczyłem, że przemieniły się w srebro rzeczywistości.

— Włóż je z powrotem do kieszeni! Będziesz miał czyste złoto — powiedział jeszcze, widząc moją baranią minę. Usłuchołem i zajrzawszy do nich za chwilę, — znalazłem moje złote monety.

— Ty masz wielki drogocenny kamień w pierścieniu. Spójrz! — zwrócił się kuglarz do mego krewnego.

Patrzmy: duży, jak orzech laskowy brylant był czarny, jak smoła. Właściciel gniewnie ściągnął pierścień z palca: w czerwone promienie łamiący się kamień, piękniejszy, niż zwykle błyszczał w słońcu.

— Ty zaś nic nie masz w kieszeni, ani na rękach — odezwał się zuchwalec do krajowca - oficera, który whisky nasze ciągnął jak wodę — ale służysz obcym i weźmiesz swą zapłatę.

Hindus zmieształ się, gdyż słowa były zagadkowe. My wszyscy również.

Nagle piszczałka ucichła, chłopiec jednym skokiem znalazł się na ulicy, stary rzucił wślad za nim okularniki i aligatora jeszcze jeden podobny ruch zrobił w naszą stronę i nim opamiętaliśmy się, oficer-krajowiec z wściekłym okrzykiem padł na ziemię. W jego gardle tkwił długi sztylet.

Wśród ogólnej paniki rozległ się groźny głos fakira:

— Talk zdechniecie wszyscy, jak ten zdrajca swego narodu. Przekleństwo domom waszym!

I wskoczył w sam środek tłumy, który z groźnym pomrukiem cofał się przed kłobami rozpędzających go żołnierzy.

Daremnie szukali starego kuglarza i jego ucznia. Znikli, jak kamień w wodzie, wśród ludu swego dobrze ukryci.

Na tarasie oficer-krajowiec z krwawą raną na szyji w śmiertelnych drgawkach konał.

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, 16 października 1927 roku.

№ 42.

Łódź w dniu wyborów do Rady Miejskiej.



Wybory do Rady Miejskiej m. Łodzi poprzedziła niezwykle ożywiona agitacja. Wszystkie stronnictwa i ugrupowania brały czynny udział w reklamie wyborczej, głoszonej na swój sposób. Ulicami miasta przebiegali wyścannicy poszczególnych komitetów, głosząc hasła uświadamiające i jednoczące sobie wyborców. Agitacja ta osiągnęła maksimum w dniu wyborów, t. j. 9 b. m.

Na zdjęciu widzimy przedstawicieli kilku list wyborczych, agitujących na ulicach w północnej części miasta.

Fot. Aleksander Meyer.

alja.

„n polskich? — Triumfy
Posucha teatralna w Pa-
— Z życia Adeliny Patti.

z ostatnich otworzył sezon teatr w Sosnowcu, pozostający pod kierownictwem długoletniego swego sternika, dyr. Czarneckiego. Na inaugurację wybrano niegraną dotychczas komedię W. Bunikiewicza, p. t. „Sowizdrzali“, którą publiczność sosnowiecka przyjęła z dużym uznaniem.

Teatry warszawskie, korzystając z cennego przywileju wystawiania jednej i tej samej sztuki po kilkadziesiąt razy, starają się w całej rozciągłości przywilej ten zużytkować. Zapewnia on, nie licząc innych dobrodziejstw, rzecz arcyważną: możność należytego przygotowania i wypróbowania każdej premiery. Nie bywa to, niestety, udziałem niemal wszystkich teatrów prowincjonalnych, którym publiczność stale depce po piętach, domagając się ciągłej zmiany repertuaru. Tak więc stołeczny Teatr Narodowy gra „Króla Agisa“, o którym pisaliśmy niedawno obszerniej; Polski z powodzeniem wystawia „Fedore“, Mały — „Fure słomy“, Letni — „Moją Maleńką, jedynie Opera posiada repertuar ruchomy, przystosowany do rodzaju i gustów operowej publiczności, do chwilowych koniunktur śpiewaczych, gościnnych występów itd.

W lwowskim Teatrze Małym występuje gościnnie p. Junosza-Stepowski, zbierając oklaski w ezotycznej kreacji „Mandaryna Wu“. W Wielkim idą nowe operetki „Don Pasqual“ i „Adieu, Mimi“; w „Nowościach“ — „Jej chłopczyk“, znany z warszawskiego Teatru Letniego.

Teatr Miejski w Krakowie gra „W piętach“, dramat Bourdet'a; widowiska szkolne i popularne wypełniają — „Balladyna“ oraz „Kościuszko pod Racławicami“. Barwna sztuka Anczyca spotkała się ostatnio z wielkim uznaniem p. Prezydenta Mościckiego, podczas pobytu Jego w podwawelskim grodzie. Krakowska operetka „Nowości“ wystawia najnowsze dzieło Lehara p. t. „Paganini“.

Sympatyczna para artystów warszawskich w osobach p. M. Malickiej i Al. Węgielki odbywa tournée po Wołyniu, popisując się w doskonałej sztuce Nicodemi'ego: „Świt, dzień i noc“. Wdzięczny ten dialog sceniczny, grany w warszawskim Teatrze Małym paraset razy, a znany dobrze również publiczności łódzkiej, w koncertowej interpretacji artystycznego duetu cieszy się wszędzie zrozumiałym powodzeniem.

Oto małe pokłosie teatralne ostatniego tygodnia, które uzupełnimy w najbliższej przyszłości.

Znakomity tenor polski, Jan Kiepusza, o którego triumfach wiedeńskich w sezonie ubiegłym już pisaliśmy, staje się prawdziwym ulubieńcem naddunajskiej stolicy. Wyjątkowe owacje w „Staatsoperze“, z którym spotkał się Kiepusza w Puccini'owskim „Turandocie“, stanowią nowy dowód wielkiego sukcesu naszego rodaka. Najpoważ-

niejsza krytyka wiedeńska nie szczędzi mu również słów gorącego uznania, a, jak się dowiadujemy, najpierwsze sceny operowe świata — „La Scala“ w Mediolanie i „Metropolitain“ w N. Jorku czynią usilne zabiegi o pozyskanie głośnego już dziś śpiewaka na szereg występów gościnnych.

Częste utyskiwania na poziomość i jałowość repertuarową teatrów polskich traca nieco na sile w obliczu posuchy teatralnej stolicy świata — Paryża, gdzie najważniejsze pióra sprawodawcze podkreślają raz po raz zastraszającą przeciętność współczesnej produkcji i brak wybitniejszych talentów dramatopisarskich. Właśnie początek sezonu bieżącego, o czym sporo interesujących szczegółów podaje paryski korespondent „Il. Kur. Krakowskiego“, dał niejedną okazję do skarg i narzekań na „nędzny poziom“ wystawianych sztuk i niebezpieczne choroby repertuarowe.

Z wystawionych ostatnio w Paryżu nowości stosunkowo najpochlebniejszą ocenę zyskał sobie dramat Marka Devollins p. t. „Mieszczka“ (Une Bourgeoise). Bohaterką tytułową tej sztuki, granej w teatrze „de l'Oeuvre“, jest żona młodego lekarza, powołanego do służby wojskowej na froncie. „Mieszczka“, spragniona miłosnych wrażeń, wskutek długiej nieobecności ubóstwiającego ją męża, zaczyna prowadzić bardzo lekkie życie, grzesząc wreszcie w błocie — eleganckiej prostytucji. Mimo to, nie przestaje — jak twierdzi autor — kochać męża, który, powróciwszy z frontu, dowiaduje się o trybie życia ukochanej kobiety. Kończy ona samobójstwem, pragnąc w ten sposób okupić winy, niedające się zmyć żadną ekspiacją.

Sztuka Leona Ruth p. t. „Młode to jeszcze...“ („C'est jeune...“) w teatrze „des Arts“ — porusza problem młodzieńczej miłości dwojga istot, z których chłopiec — w poszukiwaniu dojrzałości i doświadczenia nie waha się brać lekcje tych męskich cnót

w objęciach... zawodowej kochanki. Współbohaterka jednak tej nowoczesnej sielanki umie postawić na swoim i zdobyć z powrotem ukochanego wyłącznie dla siebie.

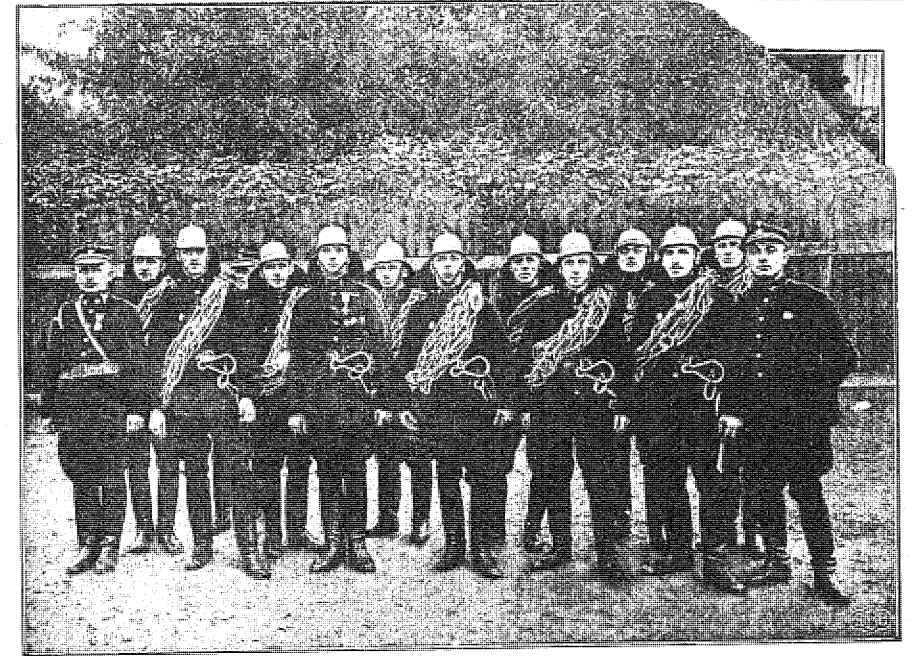
Teatr „Michaudière“ wystawia „Porwanie“ (L'enlèvement) spółki autorskiej pp. Gerbidon'a i Armont'a. Sztukę uznano ogólnie za słabą, zaś temat raz i swą sztucznością i nieprawdopodobieństwem. Chodzi bowiem o to, że jakaś dobra córka, pragnąc uratować matkę przed apadkiem, symuluje własne uwiedzenie, aby skompromitować osobę czyhającego na dobre imię matki Don Juana.

W potpourri repertuarowym, dość wątpliwego, jak widzimy, gatunku, nie brak też i melodramatów, obliczonych na bardzo „popularne“ i niewyrobione gusty. Tak się rzecz ma np. z melodramatem Alfreda Marcharda w „Nouvel Ambigu“ p. t. „Szalona Młodość“ („Folle Jeunesse“). Jest to jakaś miesylchana historia grzechu młodości księdza, który uwiódł cnotliwą dziewczynę. Czyn ten mści się w wiele lat później, gdyż ojciec ginie z ręki syna - apasza. Słowem — bamialuki... A takich bulwarowych teatryków, uprawiających podobny repertuar, jest przecież w Paryżu kilka, jeśli nie kilkanaście i wszystkie prosperują bez porównania lepiej, niż teatry artystyczne i literackie. Zwulgaryzowanie gustów i brak jakiegokolwiek przeciwdziałania tej klęsce kulturalnej aż biją w oczy.

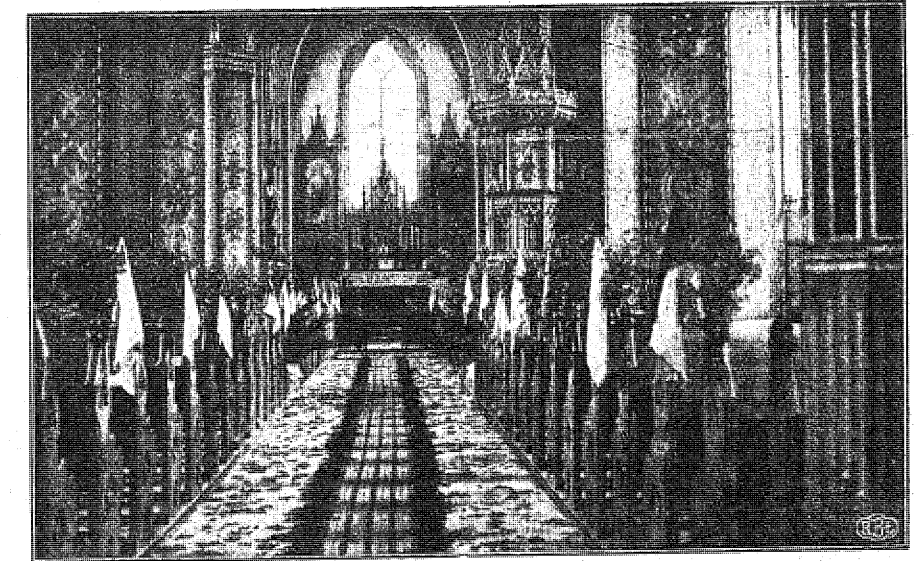
Na zakończenie: zabawna historia z kronik kariery śpiewaczki słynnej Adeliny Patti. Było to jeszcze w roku 1876, gdy artystka przebywała w Wiedniu, w przededniu wyjazdu na występy do Bukaresztu. Ponieważ nastąpiły chłody późnej jesieni, a w stolicy rumuńskiej spadł już nawet śnieg, Patti odkładała z dnia na dzień wyjazd, aż nadszedł moment krytyczny, gdy trzeba było bądź wyjechać natychmiast, bądź też odwołać zapowiedziane występy. Na prośby i nalegania impresarja, kapryśna i

drżąc o swe zdrowie śpiewaczka odpowiedziała stanowczo: nie. Zrozpaczony, pobiegł wysłać odpowiednie zawiadomienie swemu bukareszteńskiemu agentowi, lecz po drodze polecił telegraficznie agentowi wysłać do Wiednia depeszę komunikującą, że Bukareszt gotuje śpiewaczce niezwykle uroczyste przyjęcie, że uruchomiono pociąg nadzwyczajny, zmobilizowano orkiestry wojskowe, że na dworcu witać będą Adelina Patti członkowie rządu, etc., etc. Ta sfiingowana depesza, która nadeszła następnego dnia do Wiednia, zdołała wreszcie wzruszyć i rozchmurzyć artystkę. Pojechała. Na dworcu odbyło się wszystko według programu: poprostu sprytny agent zaaranżował doskonale powitalną hecę, zaś nieznaną miejscowych stosunków Patti wzięła ją za — dobrą monetę. Orkiestry, przemówienia, bukiety, panowie z „delegacji“ — wszystko to kosztowało zaledwie tysiąc franków — ale śpiewaczka była w siódmym niebie, koncert udał się nadzwyczajnie i wszyscy byli zadowoleni. Patti, wzruszona uroczystym przyjęciem, tak polubiła Bukareszt, że niejednokrotnie później jeszcze odwiedzała „gościnna“ stolicę.

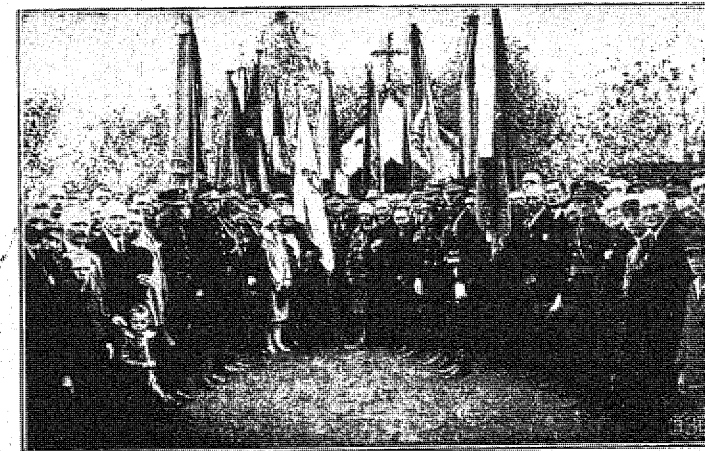
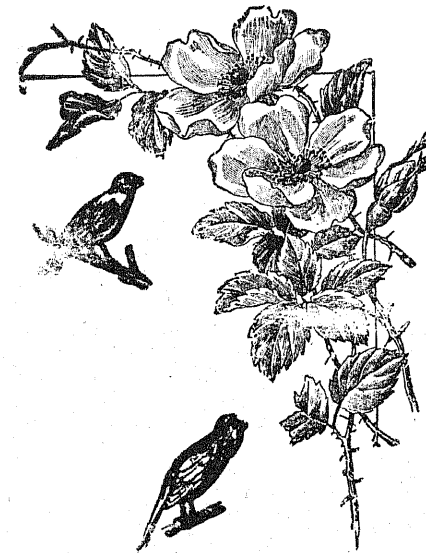
Delta.



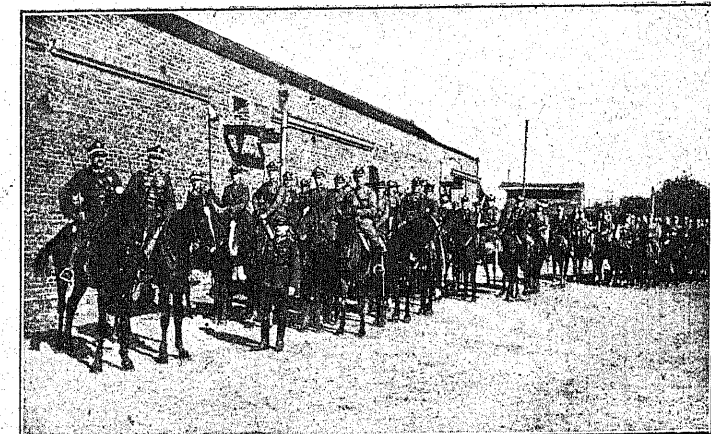
Członkowie drużyny reprezentacyjnej Łódzkiej Straży Ogniowej Ochotniczej, która brała udział w ćwiczeniach konkursowych na zjeździe w Poznaniu, odznaczeni zostali I nagrodą za zwycięską obronę honoru Łodzi.



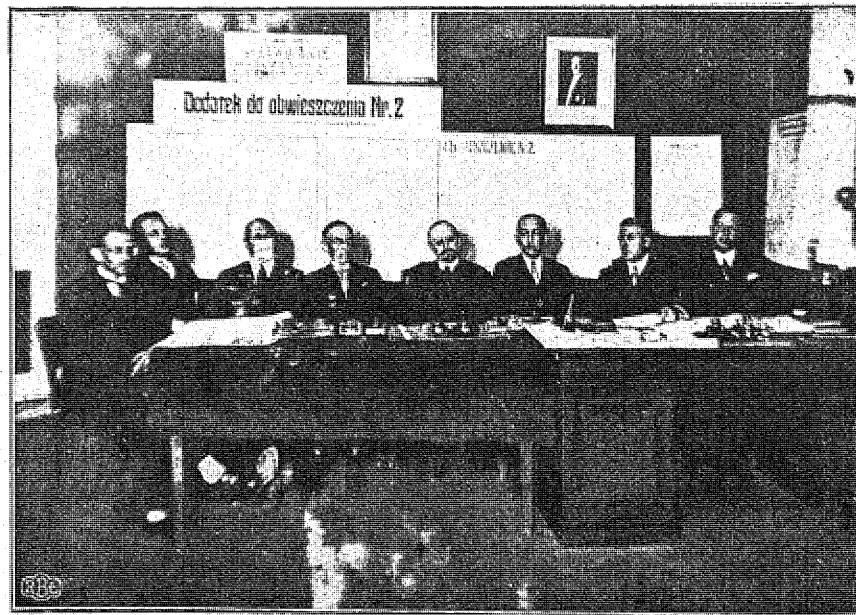
Wnętrze kościoła w Gietrzwałdzie w Prusach Wschodnich, do którego wyruszyła pielgrzymka łódzian.



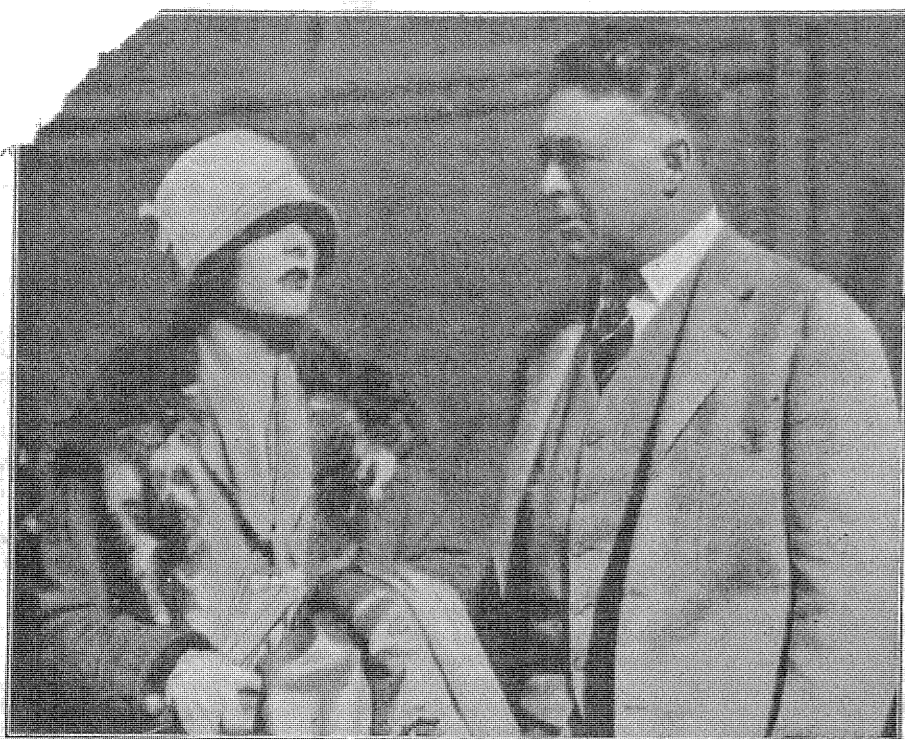
25-letni jubileusz Straży Ogniowej Ochotniczej w Konstancynie. Fot. A. Meyer.



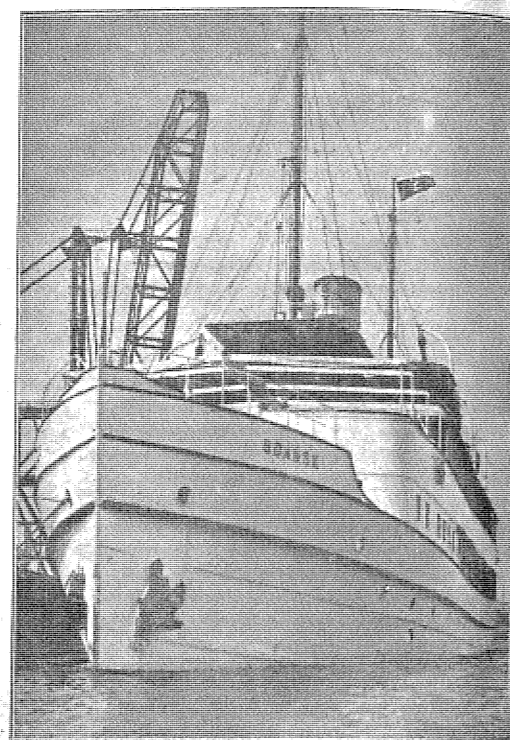
Oddział sokołów konnych, biorących udział w święcie Przysposobienia Wojskowego i Wychowania Fizycznego w Łodzi.



Główna Komisja Wyborcza w Łodzi z komisarzem, p. sędzią Zaborowskim na czele przy pracy. Fot. A. Meyer.



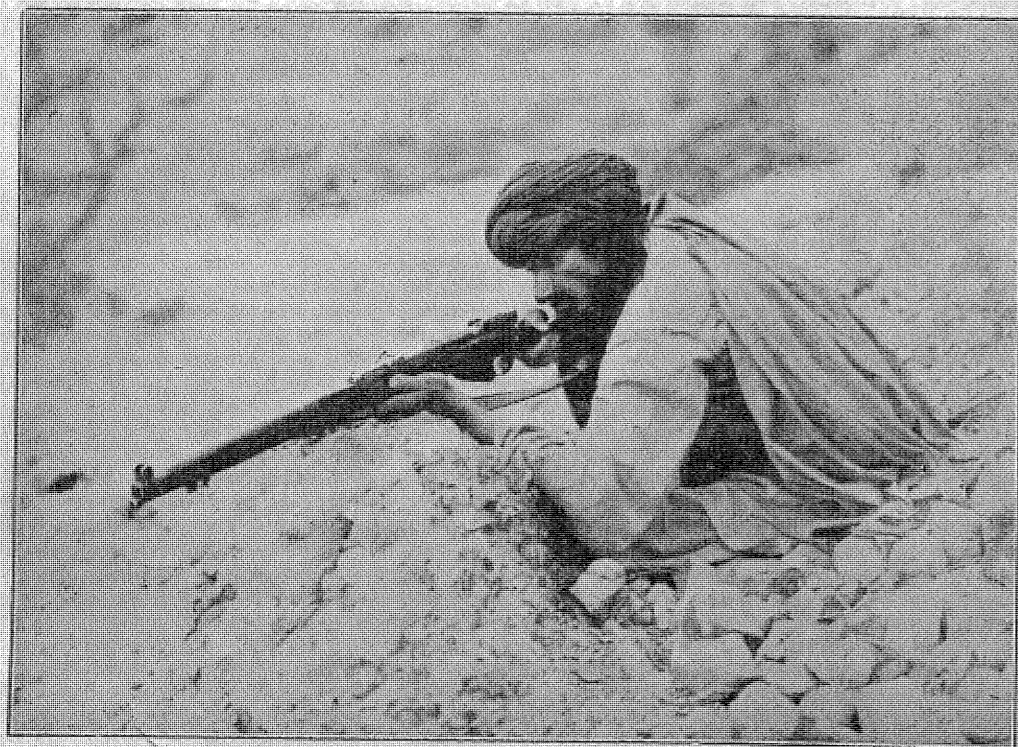
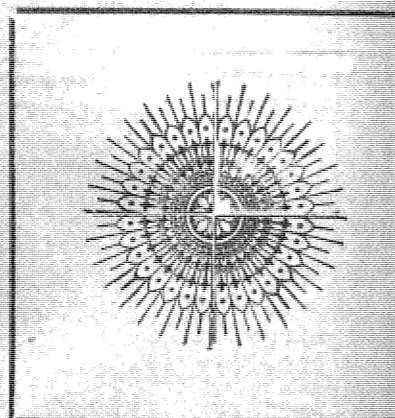
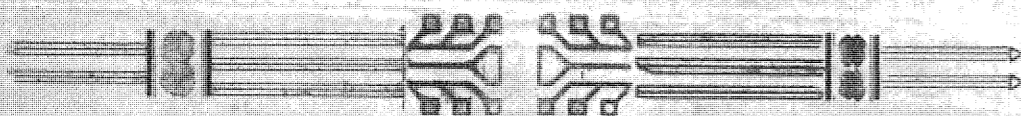
Słynna artystka Norma Talmadge oraz znakomity reżyser Clarence Brown.



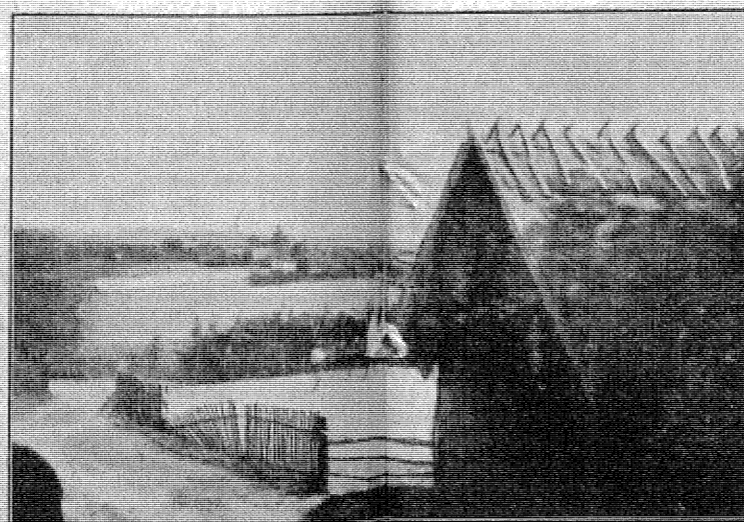
Polski statek pasażerski „Gdańsk”, który odbywa długie podróże morskie.



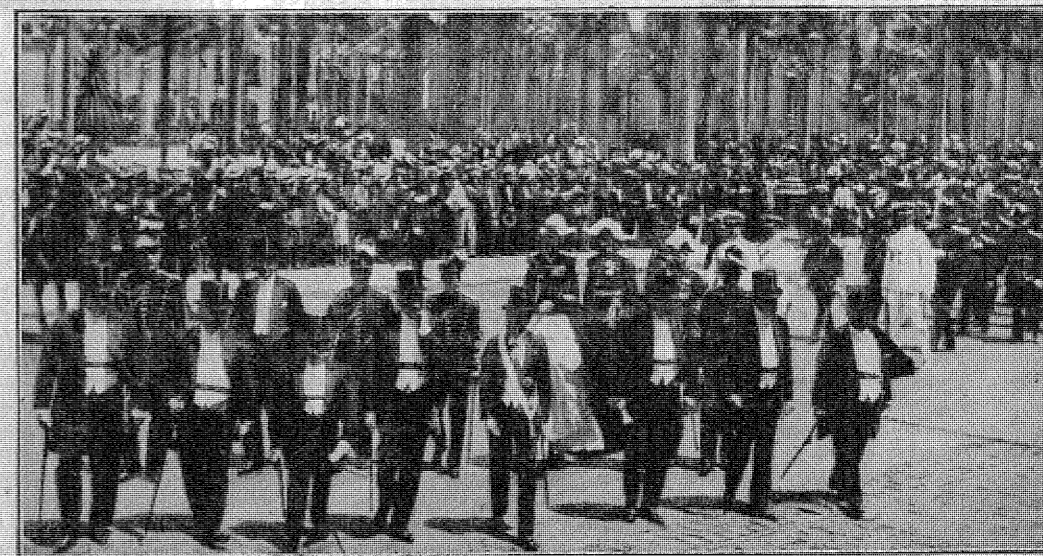
Amerykański okręt-olbrzym, na którego pokładzie znajduje się olbrzymia płaszczyna, przeznaczona na pomieszczenie 20 aeroplanów i hydroplanów.



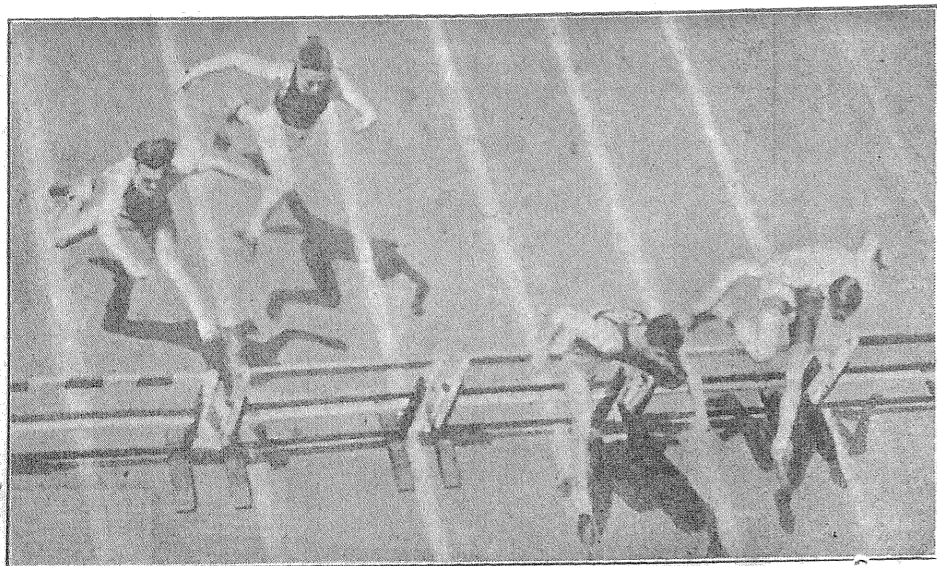
Typ powstańca afganińskiego. „Czujka” na placówce.



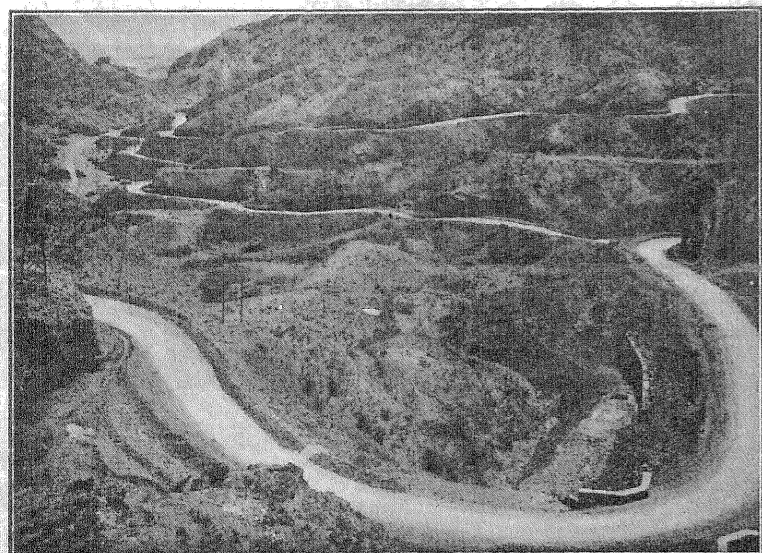
Krajobraz wiejski w Adampolu w Mniejszej. Teren tej miejscowości zamieszkuje liczna kolonia polska.



Wielka uroczystość setnej rocznicy opuszczenia Peru przez Hiszpanów.



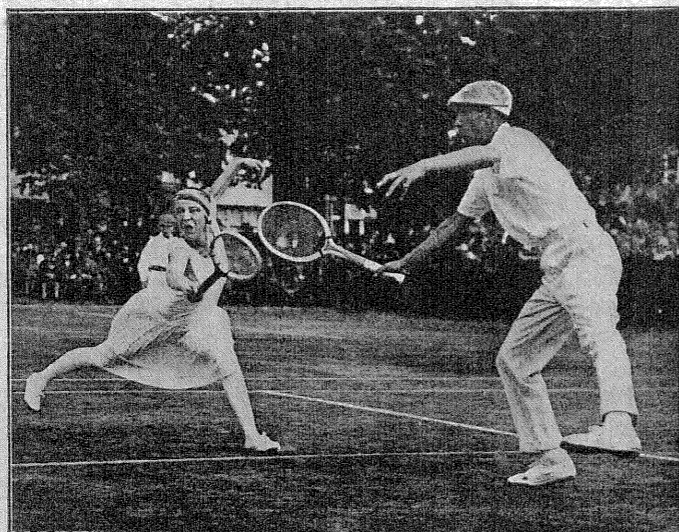
Ciekawy moment z biegów przez płotki, widziany z góry.



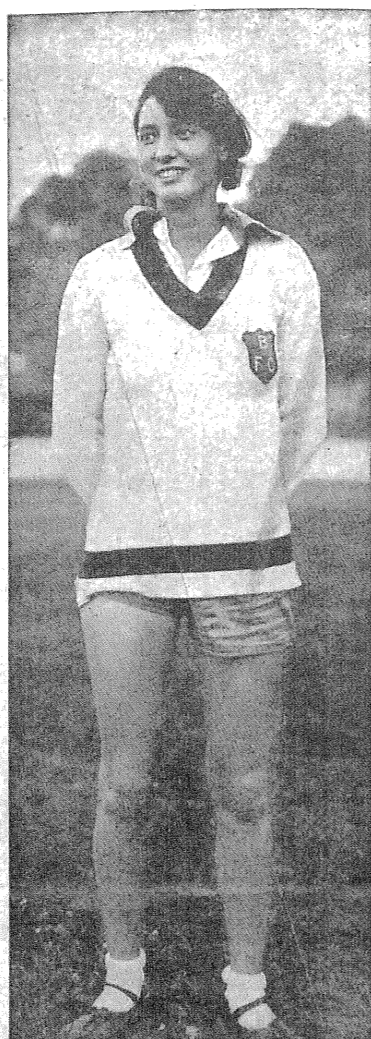
Wspaniała szosa automobilowa, pełna serpentyn w Khyber-Pass.



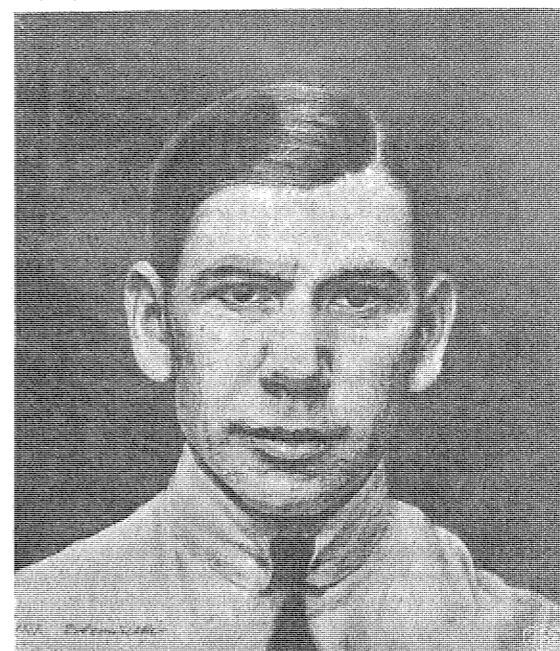
Mistrz Polski, Szmidt (Union) faworyt w doroczych zawodach kolarskich o „Naramiennik Polski”, które nie odbyły się w Kaliszu i mają być przeniesione do Łodzi.



Niezwykły moment w tenisowej grze mieszanej.



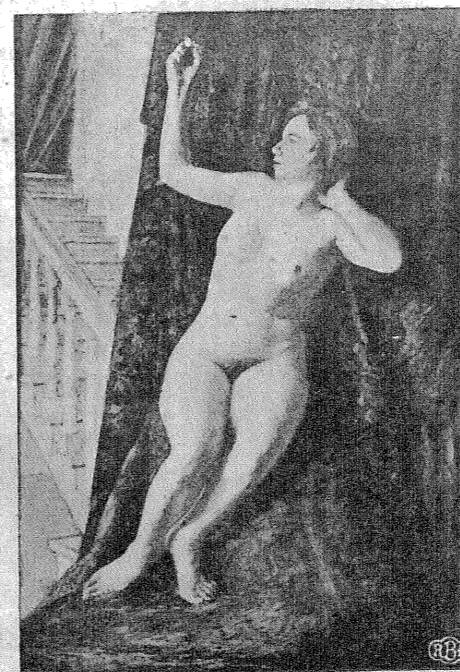
Mistrzyni świata, Halina Konopacka, choroba której spowodowała odłożenie zawodów Austria-Polska.



Portrecista art.-mal. W. Dobrowolski. Autoportret — rysunek ołówkiem.



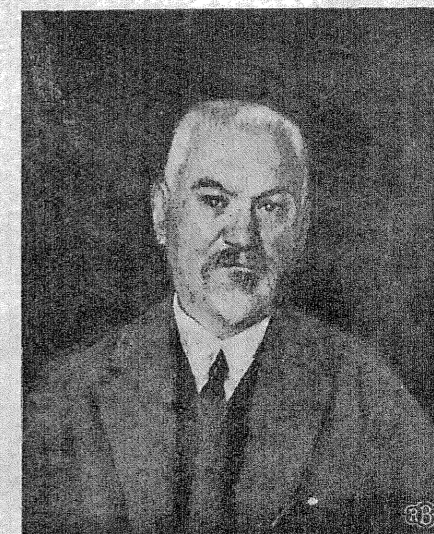
Panna „I” — akwarela. W. Dobrowolski.



„Studjum” — akwarela. W. Dobrowolski.



Portret olejny p. „D”. W. Dobrowolski.



P. „J.” — obraz olejny. W. Dobrowolski.



„Moja ciotka” — obraz olejny. W. Dobrowolski.



„Mecenas O.”. W. Dobrowolski.



Portret p. „L.”. W. Dobrowolski.

LEON LAFAGE.

Zakład i jego skutki.

Jak się nieraz ludziom życie dziwnie układa. Przez pewien czas są pośrodku, w ogniu wielkiego ruchu, wszyscy się nimi zajmują, mówią o nich, nagle znikają, aby już nigdy nie wypłynąć na szeroką arenę życiową.

Przez parę tygodni znajomi wspominają ich jeszcze, a potem giną w niepamięci ludzkiej. Zdarza się jednak, że po wielu latach zarządzeniem przypadku uda się jednemu z dawnych towarzyszy na ślad ich w jakimś zapadłym kącie natrafić.

Działo się ubiegłego lata, na francuskiej ziemi.

Po dwudziestu pięciu latach znalazłem przyjaciela, zaginionego towarzysza moich lat młodzieńczych!

Odbywałem właśnie pieszą wycieczkę po środkowej Francji, ażeby w kilkutygodniowej samotności najistotniejszego zażyć wypoczynku.

Pewnego dnia przewędrowawszy kilka godzin z rzędu po wielkim, żywicznej wonią przepojonym, lesie sosnowym, upadłem ze znużenia, głodu i zmęczenia.

Nie widząc żadnej gospody wokół, postanowiłem zastukać do jednego z większych dworców gospodarskich, który właśnie mijalem. Kiedy mi drzwi otworzono po poprosiłem wiejskiego chłopca, który mnie do mieszkania wpuścił, by spytał swego pana czyby nie mógł nakarmić mnie i napoić za hojnym wynagrodzeniem oczywiście. W tej chwili otworzyły się narozcież drzwi na wpół przymknięte dotychczas i wysmukły, dobrze wyglądający, szpakowaty już nieco mężczyzna bardzo starannie ubrany, z roześmianymi oczami, podszedłszy do mnie, zawołał:

— Wszystkiego dostaniesz i to po starej przyjaźni! Nie przypuszczasz chyba, że otrzyję pieniądze od ciebie?

— Bourdolle! — wykrzyknąłem, poznając mego starego przyjaciela matychmiast. Co za niespodzianka! Po dwudziestu pięciu latach....!

U boku mego Bourdolle'a stanęła tymczasem kształtna, świeżo jeszcze i zdrowo wyglądająca złotawa szatynka; witając mnie z przyjaznym uśmiechem na twarzy: madame Bourdolle we własnej osobie.

Nie mogłem przyjść narazie do siebie. Bourdolle, największy szaleńiec z całej naszej bandy ówczesnej; który znikł pewnego dnia jak kamień w wodzie i ani się więcej pokazał! Tu sądzone mi go, dzięki szczęśliwemu przypadkowi, spotkać, w tym ładnym domu, którego sam wygląd zewnętrzny o zamożności i cichem, spokojnym szczęściu świadczył, u boku milej, młodo wyglądającej żony....

Spędziliśmy razem rozkoszne poobiedzie ale wieczorem dopiero, kiedy sami przy bu-

telce mocnego wina siedzieliśmy, opowie dział mi swoje dzieje:

— Czy pamiętasz? — zaczął — to lato przed dwudziestu pięciu laty, kiedyśmy w Biarritz najszałeńsze nasze figle patali? Byłeś zmuszony nieco wcześniej do Paryża wrócić. W parę dni potem mieliśmy w ślad za tobą podażyc: piękna madame Levi, ban kier, jej mąż i ja; w owem aucie, które wieczorem w wigiliję wyjazdu o mały włos nie przegrałem w Casinie. Przed odjazdem założyłem się z pewnym Anglikiem o szybkość.

Nasza ówczesna jazda przyprawiłaby napewno dzisiejszego szofera o spazmy śmiechu. Na owe czasy jednak było to szaleństwem.

Anglik wyjechał o trzydzieści minut przed nami. Chodziło o przebycie stu pięćdziesięciu kilometrów. Po krótkim postoju na ósmej czy dziesiątej mili chromometr mój pokazał, że muszę już chyba przeciwnikowi memu po piętach deptać.

I rzeczywiście, ujrzałem nagle daleko przede mną tuman pyłu.

Napewno mój Anglik! Mam go już niebawem! O kilka kilometrów dalej szosa była zagrodzona i gromada krajowców, obozująca pośrodku drogi, podnosząc ręce do góry, wołała:

— Nie jedźcie dalej! Las sosnowy pali się przed wami!

Obłok dymu zatem wziąłem za tuman pyłu przed chwiłą!

— Czy nie widzieliście złotego auta, przejeżdżającego tędy? — zapytałem.

— Przedostało się jeszcze przez las prawdopodobnie — odpowiedziano mi.

— No, kiedy się Anglik przedostał, muszę się i ja przedrzeć! — pomyślałem sobie w duchu i jazda dalej!

Wtém uczulem czyjąś rękę na ramieniu: to Lewi błagał mnie, bym nie igrał z niebezpieczeństwem. Ale znasz mię przecież; kiedy sobie coś postanowię, za nic się nie cofnę!

— Nie dam się przecież Anglikowi pobić! — odkrzyknąłem mu przez ramię.

— Nie będziesz pobity! — jęczał Levi. To jest siła wyższa przecież!

Nie usłuchałem go jednak i zdwoiłem jeszcze szybkość.

Niebawem gorący wiatr nas owiał, zapach spalonej kory i rozgrzanej żywiccy coraz silniejszy się stawał, tak, że ledwie mogłem oddychać!

Nagle, po jednym z zakrętów, ujrzelśmy płomień tuż przed sobą i nim się zorientowałem, znaleźliśmy się w samym środku ognia. Jedno mi teraz tylko pozostało — uciekać. Zgięty wpół gnałem przez ogień...

Nazajutrz z rana ocknąłem się w nieznanym mi pokoju. Przy moim łóżku siedziała dziewczeczka, uśmiechając się do mnie czarnymi, błyszczącymi oczami w głoście-mi włosami obramowanej twarzyczce.

Poprosiwszy o lustro, ujrzałem się z głową całkowicie obandażowaną, niczem Marokańczyk w turbanie. Moja pielęgniarka opowiedziała mi całą historję: jak auto rozpalone jak piec piekarski, z popękanymi kołami, pełne spalonych gałęzi, nagle z sosnowego lasu wypadło w tem miejscu, gdzie okopnicy dalszemu szerzeniu się ognia opór stawili. Levisowie, którzy się plackiem w aucie położyli, dzięki czemu odnieśli powierzchowne tylko oparzelizny, mogli w dalszą drogę się puścić, podczas kiedy ja nieprzytomny pozostałem na miejscu.

Wnieśli mnie do ojca Elissanta, hodowcy owoców na wielką skalę, który tam wraz z swą jedyną córką i starą służącą mieszkał.

W miarę powrotu do zdrowia, przekonywałem się coraz głębiej o wysokiej wartości duchowej gospodarza, patrząc na jego gorliwą pracę i ludzki stosunek do swych podwładnych.

Pewnego dnia — wyobraź ty sobie! — zacząłem nad szaleństwami rozmyślać, któremi dotychczas wypełniałem dni mego życia. Porównałem gorączkową naszą egzystencję z cichem, pełnem wewnętrznego zadowolenia szczęściem tych ludzi i postanowiłem żyć jak oni, jeśli — panna Elissant nie będzie mieć nic przeciwko temu.

— Jak dobrze się żyje tutaj! — powiedziałem jej szczerze jednego z najbliższych dni. — Ale ja muszę już chyba stąd odejść?

Zarumieniła się. Wzięc ja śmielej nieco:

— Czy pani myśli, panno Irenko, że mógłbym tu zostać?

Spojrzała na mnie swymi ślicznymi, wielkimi oczami, skinąwszy główką na znak przyzwolenia i podając mi swą rączkę.

Nadszedł w tej chwili ojciec Elissant, kichając, z tabakierką w rękę.

— Daj i mnie szczyptę, kochany teściu — zawołałem wesoło — zaręczyliśmy się...

I oto żyję od dwudziestu pięciu lat zdala od Paryża, zdala od ludzi, którymi się dawniej otaczałem i nie pragnąc do dawnego życia powrócić. Mam jednego syna, odbywającego właśnie teraz swoją moczną wojskowość, drugiego, przebywającego obecnie z dziadkiem swym w Algierze w celu kupna królowych pszczoł dla wzmocnienia naszych rojów. Handluję miodem i żywicą — czyżbyś może o czemś lepszym wiedział?

Unitószy mą szklanke w górę, traciłem się z nim z pewnem uczuciem zazdrości w sercu. Nie, o niczem lepszym nie wiedziałem....

Tłum. Jotsaw.



Łódź w ilustracji

DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, 23 października 1927 roku.

Nr. 43.

J. Em. Ks. Kardynał Hlond w Łodzi.



W dniu 16 października r. b. odwiedził Łódź Najwyższy Dostojnik Kościoła Katolickiego w Rzeczypospolitej, J. Em. ks. kardynał Augustyn Hlond, Prymas Polski, którego wizyta związana była z poświęceniem kościoła św. Teresy, przy ul. Pomorskiej.

Przyjazd Najdostojniejszego Gościa wzbudził głęboki entuzjazm całej ludności katolickiej naszego miasta, która nadzwyczaj owacyjnie witała Księcia Kościoła w murach Łodzi.

Na zdjęciu widzimy J. Em. ks. kardynała Hlonda (X) w otoczeniu duchowieństwa miejscowego z J. E. ks. biskupem Tymienieckim (X X) na czele, na cmentarzu kościoła św. Teresy.

Fot. A. Meyer.